

WYBÓR FRAGMENTÓW TEKSTÓW LITERACKICH DO ĆWICZEŃ POWTÓRZENIOWYCH Z JĘZYKA POLSKIEGO W KLASACH MATURALNYCH

Publikacja zawiera fragmenty lektur do omawiania następujących zagadnień:

1. **Dom** i jego rola w życiu człowieka.
2. **Wieś** i jej mieszkańcy.
3. Różne ujęcia motywu **przyrody** w literaturze.
4. **Starość** jako temat literacki.
5. Wizerunki **matek** w literaturze.
6. Skutki rozpamiętywania **przeszłości**.
7. **Przemiana wewnętrzna** bohatera literackiego.

Opracowanie: Anna Ewelina Kucharewicz

Technikum Mechaniczne w Białymstoku

CZYM DLA CZŁOWIEKA JEST DOM?

1. Jan Kochanowski, *Na dom w Czarnolesie* (fraszka)

Panie, to moja praca, a zdarzenie Twoje;
Raczyż błogosławieństwo dać do końca swoje!
Inszy niechaj pałace marmórowe mają
I szczerym złotogłowem ściany objają,
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tym gniaździe ojczystym,
A Ty mię zdrowiem opatrz i sumnieniem czystym,
Pożywieniem ućciwym, ludzką życzliwością,
Obyczajmi znośnymi, nieprzykrą starością.

Zdarzenie – błogosławieństwo, dar; Złotogłów – drogocenna tkanina przetykana złotem; Nieprzykra – nieuciążliwa

2. Ignacy Krasicki, *Żółw i mysz* (bajka)

Że zamknięty w skorupie niewygodnie siedział,
Żałowała mysz żółwia; żółw jej odpowiedział:
"Miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny;
Prawda, nie jest wspaniały - szczupły, ale własny".

3. Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz* (epopeja)

Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany (...)
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi (schludny)
I stodołę miał wielką, i przy niej trzy stogi
Uzątku, co pod strzechą zmieścić się nie może.
Widać, że okolica obfita we zboże (...)
(Tadeusz) wbiegł do domu, pragnął go powitać.
Dawno domu nie widział, bo w dalekim mieście
Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.
Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule, jako swe znajome dawne.
Też same widzi sprzęty, też same obicia,
Z którymi się zabawiać lubił od powicia (urodzenia) ...
I też same portrety na ścianach wisały:
Tu Kościuszko w czamarce (długiej sukmanie) krakowskiej, z oczyma
Podniesionymi w niebo, miecz oburącz trzyma;
Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie
Siedzi Rejtan, żałośny po wolności stracie (...)
Nawet stary stojący zegar kurantowy
W drewnianej szafie poznał, u wniścia alkowy (sypialni);
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek (...)

Kościuszko, Tadeusz (1746–1817) — Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej podczas insurekcji 1794 roku, zwanej kościuszkowską, wsczętej przeciw Rosji i Prusom.

Rejtan, Tadeusz (1742–1780) — uczestnik konfederacji barskiej, poseł ziemi nowogródzkiej na Sejm Rozbiorowy (1773–1775), wraz z innymi posłami próbował nie dopuścić do zatwierdzenia traktatu rozbiorowego przez zawiązaną na sejmie konfederację pod przewodnictwem księcia Adama Ponińskiego, a gdy to się nie powiodło, Rejtan miał własnym ciałem zagrozić drogę posłom wychodzącym z sali obrad (scena ta znana jest z obrazu Jana Matejki *Rejtan*); po sejmie Rejtan wrócił na Litwę i według tradycji popadł w obłęd, a następnie popełnił samobójstwo z rozpacz.

4. Bolesław Prus, **Lalka** (powieść realistyczna)

a)

Dziwny był widok tego salonu. Meble okryte ciemnopopielatymi pokrowcami, to samo fortepian, to samo pajak zawieszony u sufitu; nawet stojące w kątach kolumny z posążkami miały także popielate koszule. W ogóle robił on wrażenie pokoju, którego właściciel wyjechał zostawiając tylko służbę bardzo dbałą o porządek domu. (...) — A, a!... To dobrze... — mówiła baronowa, powoli wchodząc do salonu i nie prosząc nas, żebyśmy usiedli. Rysopis tej damy: czarna suknia, żółtawa twarz, sinawe usta, zaczerwienione z płaczu oczy i włosy gładko uczesane. (...) — Te praczki, które przez cały dzień śpiewają jakieś wstrętne piosenki na dole, a wieczorem śmieją się nad moją głową u tych... studentów... Ci zbrodniarze, którzy na mnie rzucają z góry papierosy albo leją wodę... Ta nareszcie pani Stawska, o której nie wiem, czym jest: wdową czy rozwódką, ani z czego się utrzymuje... Ta pani bałamuci mężów żonom cnotliwym, a tak strasznie nieszczęśliwym...

Zaczęła mrugać oczyma i rozpłakała się. — Okropność!... — mówiła łkając. — Być przykutą do tak wstrętnego domu przez pamięć dla dziecka, której nic już nie wydrze z serca. Wszakże ona biegała po tych wszystkich pokojach... Ona bawiła się tam, od podwórza... I wyglądała oknem, przez które mnie, matce-sierocie, wyrzeć dzisiaj nie wolno... Chcą mnie wypędzić stąd... wszyscy chcą mnie wypędzić... wszystkim zawadzam... A przecież ja stąd nie mogę wyprowadzić się, bo każda deska tej podłogi nosi ślady jej nóżek... w każdej ścianie uwiązał jej śmiech albo płacz... Upadła na kanapę i zaniosła się od łkania. — Ach! — płakała — ludzie są okrutniejsi od zwierząt... Chcą mnie wygnać stąd, gdzie moja dziecina wydała ostatnie tchnienie... Jej łóżeczko i wszystkie zabawki leżą na swoich miejscach... Sama ścieram kurze w jej pokoju, ażeby nie poruszyć najmniejszego sprzętu... Każdy cal podłogi wydeptałam kolanami, wycalałam ślady mojej dzieciny, a oni mnie chcą wygnać!... Wygnajcież stąd pierwój mój ból, moją tęsknotę, moją rozpacz...

b)

Dom był jednopiętrowy, bardzo stary; mówiły o tym ściany pokryte pleśnią, mówiły okna zakurzone, gdzieniegdzie wybite. (...) Wreszcie po kilku chwilach zgrzytnęły drzwi środkowe, otworzyły się i stanął w nich Geist. Był ubrany w podarte niebieskie spodnie, drewniane sandały na nogach i brudny flanelowy kaftanik na grzbiecie. (...) Wszedłszy na górę znaleźli się w dużym pokoju o czterech oknach. Głównym jego umeblowaniem były stoły, literalnie zarzucone retortami, miseczkami i rurkami ze szkła, porcelany, nawet z ołowiu i miedzi. Na podłodze pod stołami i w kątach leżało kilkanaście bomb artyleryjskich, między nimi kilka pękniętych. Pod oknami stały waniенki kamienne lub miedziane, napelnione kolorowymi płynami (...) Wokulski spojrzał na starca obutego w drewniane sandały jak najuboższy wyrobnik, potem na jego sprzęty, z których wзираła nędza, i pomyślał, że przecie ten człowiek za swoje wynalazki mógłby mieć miliony. Wyrzekł się ich jednak dla dobra jakiejś przyszłej, doskonalszej ludzkości... Geist wydał mu się w tej chwili jak Mojżesz, który do obiecaney ziemi prowadzi jeszcze nieurodzone pokolenia. Ale stary chemik tym razem nie odgadł myśli Wokulskiego (...)

5. Bruno Schulz, **Nawiedzenie** (opowiadanie z tomu *Sklepy cynamonowe*)

Mieszkaliśmy w rynku, w jednym z tych ciemnych domów o pustych i ślepych fasadach, które tak trudno od siebie odróżnić. (...) Pełne wielkich szaf, głębokich kanap, bladych luster i tandetnych palm sztucznych mieszkanie nasze coraz bardziej popadało w stan zaniedbania wskutek opieszałości matki, przesiadującej w sklepie, i niedbalstwa smukłonogiej Adeli, która nie nadzorowana przez nikogo, spędzała dnie przed lustrami na rozwlekłej toalecie, zostawiając wszędzie ślady w postaci wyczesanych włosów, grzebieni, porzuconych pantofelków i gorsetów. Mieszkanie to nie posiadało określonej liczby pokoi, gdyż nie pamiętano, ile z nich wynajęte było obcym lokatorom. Nieraz otwierano przypadkiem którąś z tych izb zapomnianych i znajdowano ją pustą; lokator dawno się wyprowadził, a w nietkniętych od miesięcy szufladach dokonywano niespodzianych odkryć. W dolnych pokojach mieszkali subiekci i nieraz w nocy budziły nas ich jęki, wydawane pod wpływem zmory sennej. (...) W kątach siedziały nieruchomo wielkie karakony, wyogromnione własnym cieniem, którym obarczała każdego płonąca świeca i który nie odłączał się od nich i wówczas, gdy któryś z tych płaskich, bezgłowych kadłubów z nagłą zaczynał biec niesamowitym, pajęczym biegiem. W tym czasie ojciec mój zaczął zapadać na zdrowiu. Bywało już w pierwszych tygodniach tej wczesnej zimy, że spędzał dnie całe w łóżku, otoczony flaszками, pigułkami i księgami handlowymi, które mu przynoszono z kontuaru.

W JAKI SPOSÓB TWÓRCY KULTURY UKAZUJĄ WIEŚ I JEJ MIESZKAŃCÓW? (Chłodek/Soplicowo/Lipce)

Lubili [chłopi w Chłodku] gadać i słuchać tylko o tutejszym, o realnym, o widocznym, dotykającym, o tak dotykającym i tutejszym, że on znowu tego nie rozumiał. Wszystko musiało być na przykładzie z tej okolicy, wszystko musiało tutaj się przydarzyć i o tutejsze stosunki zaczepiać. Inaczej było obce, dalekie, zaświatowe, a więc nie interesujące. Wszystko, cokolwiek mówili i czym się interesowali, zahaczało się o jadło i napitek, obracało się dokoła opału i odzienia, przeżycia zimy i przednówka, a doczekania drugiego lata. A na drugie lato i drugą jesień będzie znowu to samo: wyrobić, wydębić z okrutnej, twardej ziemi tyle, żeby przeżyć całą zimę bez głodowania, przetrzymać przednówek — i znowu dalej — do „nowego”.

W pewnej chwili tych gawęd o jadle i przyrodziewku od zimna, Cezarego pchnął nóż wściekłości: „Cóż za zwierzęce pędzicie życie, chłopcy silne i zdrowe! Jedni mają jadła tyle, że z niego urządzili kult, obrzęd, nałóg, obyczaj i jakąś świętość, a drudzy po to tylko żyją, żeby nie zdychać z głodu! Zbuntujcie się, chłopcy potężne, przeciwko swojemu sobaczemu losowi!” — myślał Cezary siedząc na worku miękkich otrąb (...)

Komornicy — byli to chłopcy i ich rodziny nie posiadający wcale roli, a zamieszkujący „kątem” u gospodarzy przeważnie małych, którzy jednak posiadali własne skrawki roli, własne chaty, stodoły i obórki. Komornicy chodzili na zarobek do dworów, służyli za fernali i ratajów, a także zarabiali u bogatych chłopów jako najemnicy i parobcy w gospodarstwach włościańskich dostatnich, lepiej prowadzonych i zasobnych w inwentarz. Życie komorników było nędzne nad wyraz (...) Słaniali się po drogach jako dziady, tłukli się po dziedzińcach zabudowań, płacząc się i nie wiedząc, o co ręce zaczepić. Jakże straszną była ich zima! Jakże potworne wśród nich grasowały choroby! Jakież katusze znosiły kobiety tego klanu pariasów, gdy w ich potomstwo uderzały *krosty* albo to straszniejsze, co ściśnie w gardle i zadusi nieletnie dzieciątko, niczym bezlitosna kuna, *ćkórz*, wytracający całe kurniki ptasich piskląt.

Przez szpary we wrótniach stodołek przypatrywał się starcom i staruchom wywleczonym z ogrzanych chałup przez dzieci i wnuki zdrowe *na umarcie* w mróz, zawieję, złożonym na snopku kłóci, aby prędzej *doszli* i nie zadręczali żywych, spracowanych i głodnych, swym kaszlem, charkaniem krwią albo nieskończonymi jękami. Podziwiał tę pierwotną, barbarzyńską bezlitość, która jest nieuniknioną ekonomią życia, życia takiego, jakie jest na wsi.

Stefan Żeromski, Przedwiośnie

Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie (...)

Dziś piękność twą w całej ozdobie

Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie (...)

Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną

Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,

Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;

Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,

Wyłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem (...)

Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju ,

Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,

Stał dwór szlachecki (w Soplicowie), z drzewa, lecz podmurowany;

Świeciły się z daleka pobielane ściany (...)

Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi (zadbany),

I stodołę miał wielką, i przy niej trzy stogi

Uzątku, co pod strzechą zmieścić się nie może.

Widać, że okolica obfita we zboże,

I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszerz smugów

Świecą gęsto jak gwiazdy, widać z liczby pługów

Orzących wcześniej łany ogromne ugoru,

Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,

Uprawne dobrze na kształt ogrodowych grządek:

Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.

Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza,

Że gościnna, i wszystkich w gościnę zaprasza (...)

Sędzia, choć utrudzony, chociaż w gronie gości,

Nie chybił gospodarskiej, ważnej powinności:

Udał się sam ku studni. Najlepiej z wieczora

Gospodarz widzi, w jakim stanie jest obora.

Dozoru tego nigdy sługom nie poruczy;

Bo Sędzia wie, że oko pańskie konia tuczy.

Adam Mickiewicz *Pan Tadeusz*

— Nie bój się, Wawrzku, każda młódka pójdzie za niego, niechby tylko rzekł (Jagustynka o Macieju Borynie).

— Już dwie żony pochował.

— Niech se pochowa i trzecią, Panie Boże mu pomóż, a niech dzieciom, póki żyw, nie daje ni staja, ni liszki jednej, ni tyle, co trepem przydepnie. Ścierwy, wyrzuciłyby go, kiej moje mnie. Dałyby mu wycugi, że na wyrobek by chodził, z głodu by zdychał albo i na żebry, po proszonym szedł. Oddaj ino, co masz, dzieciom — to ci oddadzą; rychtyk ci tego starczy na sznureczek albo i na ten kamień do szyi (...)

— Widzi mi się, co bez kijaszka z nimi obyc się nie obędzie, bez twardego! Dawno się im to należało, zaraz po śmierci nieboszczki, kiej kłyżnić się zaczęły o gronta, ale się jeszcze wagował, żeby zgorszenia we wsi nie czynić. Gospodarz był przeciech nie leda jaki, na trzydziestu morgach, i z rodu nie bele chto — Boryna, wiadomo. Ale dobrością z nimi się nie skończy, nie!... — Tu przyszedł mu na myśl zięć, kował, któren wszystkich po cichu burzył, a i sam wciąż nastawał, żeby mu sześć morgów odpisać i morgę lasu, a już na resztę chciał poczekać...

— To niby kiej zamrę! Poczekaj, jucho, poczekaj — myślał ze złością. — Póki się ino rucham, nie powąchasz ty ani zagona! (...)

— A dyć nie bijcie, a dyć! — zdążył krzyknąć jeno. (Witek)

— Takiś to pastuch, co? Tak to pilnujesz, co? Najlepsza krowa się zmarnowała, co?... Ty znajdku, ty pokrako warsiaska!

Ty! — I bił zapamiętałe, gdzie popadło, aż rzemień świszczwał, a chłopak wił się kiej piskorz i wrzeszczał:

— Nie bijta! Loboga! Zabije mię! Gospodarzu!... O Jezu, ratujta!...

Aż Hanka wyrzała z chałupy, co się dzieje, a Kuba splunął i schował się do stajni. A Boryna łoł go rzetelnie, wybijał mu na skórze swoją stratę tak zajadle, że Witek miał już gębę posinioną i z nosa puściła mu się krew, krzyczał wniebogłosy i cudem jakimś się wyrwał, chwycił się obu rękami z tyłu za portki i gnał w opłotki.

Władysław Stanisław Reymont *Chłopi* T. I

RÓŻNE UJĘCIA MOTYWU PRZYRODY

1. „Makbet” W. Szekspira - nocny mord dokonany na królu Szkocji przez tytułowego bohatera dramatu renesansowego Makbeta – przyroda reagująca na zło czynione przez człowieka, wywołująca grozę i przerażenie podobnie jak zabójstwo szlachetnego Dunkana, jej opis buduje nastrój grozy i tajemniczości.

Noc była straszna; gdzieśmy nocowali,
Wiatr zwałił komin, a jak powiadają,
W powietrzu straszne słychać było jęki,
Krzyki, konania i głosy prorocze,
Groźnym akcentem zapowiadające
Łuny pożarów i zamęt wypadków,
Świeżo wylęgłych na dni naszych klęskę.
Noc całą puszczyk hukał przeraźliwie,
I ziemia nawet drżeć miała z przestachu (...)

2. „Cierpienia młodego Wertera” J. W. Goethego – przyroda odzwierciedla przeżycia wewnętrzne głównego bohatera powieści (Werter zakochuje się na wiosnę, jest szczęśliwy, wszystko go cieszy, piękno otaczającej przyrody odzwierciedla radość panującą w sercu bohatera, jesienią poznajemy smutnego, rozgoryczonego z powodu uświadomienia sobie braku możliwości bycia z Lottą) Por. „Król olch” J. W. Goethego, sonet „Burza” A. Mickiewicza, „Deszcz jesienny” Leopolda Staffa, „Krzak dzikiej róży” J. Kasprówicza – w wymienionych utworach przyroda odzwierciedla ludzkie uczucia.

21 czerwca

Przeżywam dni tak szczęsne, jakimi pewnie Bóg obdarza swych świętych i cokolwiek by się potem ze mną stało, nie będę śmiał zaprzeczać, iż nie dostało mi się w udziale szczęście, najczystsze szczęście życia. Znasz już moje Wahlheim, otóż osiedliłem się tutaj na dobre, bowiem dzieli mnie tu od Loty jeno pół godziny drogi, tutaj żyję sam ze sobą i z niewysłowionym szczęściem, najwyższym, jakiego doznawać może człowiek (...) Gdym tu jeno przybył i spojrział ze wzgórza w uroczą dolinę, doznałem nieprzepartego pociągu. — Oto lasek! — mówiłem sobie. — Jakżeby rozkosznie było zatonać w jego cieniach! — A tam szczyt góry! Jakże uroczy musi być stamtąd widok w dolinę? — W dali wylania się cały łańcuch, zachodzących na siebie wzgórz! O, jakżeby miło było tam wędrować i błędzić (...) O, jakże szczęśliwym się czuję, że serce moje odczuwać może ową pełną prostoty radość człowieka, kładącego na własnym stole wyhodowaną przez siebie główkę kapusty, rozkoszującego się nie tylko nią samą, ale wspomnieniem wszystkich owych miłych dni i cudnych poranków, kiedy ją sadził, onych wieczorów, kiedy ją podlewał i cieszył czy jej wzrostem i rozwojem, ujętymi w jeden jedyny moment przeżycia.

30 lipca

Albert przyjechał, ja tedy muszę ustąpić. Gdyby nawet był najlepszym, najszlachetniejszym człowiekiem, tak, że pod każdym względem gotów bym był uznać jego wyższość nad sobą, to i tak nie byłbym w stanie patrzeć na przyozdobionego tyłu doskonałościami człowieka. Dość tego Wilhelmie! Przyjechał narzeczony! Jest to miły, zacny człowiek, któremu nic zarzucić nie można. Szczęściem, nie byłem świadkiem powitania! Serce by mi pękło chyba. Bardzo jest delikatny, w obecności mojej ani razu nie pocałował Loty. Niech mu to Bóg wynagrodzi. Polubiłem go za szacunek, jaki jej okazuje. Jest mi życzliwy i podejrzewam, że jest to raczej dzieło Loty, niż wyraz jego własnych uczuć. Kobiety są mistrzyniami w tych sprawach i mają słuszną. Jeśli uda im się utrzymać zgodę pomiędzy dwu wielbicielami, zyskują na tym same najwięcej. Ale rzadko się to, co prawda, udaje.

Nie mogę, mimo wszystko, odmówić szacunku Albertowi. Jego spokój odbija bardzo jaskrawo od mego wrażliwego usposobienia i ukryć tego nie sposób. Jest to człowiek uczucia i wie, czym jest dlań Lota. Humor ma zawsze, zda się, dobry, a wiesz, że wady przeciwnej znieść nie mogę w ludziach i nienawidzę ponad wszystkie inne.

4 września

Przyrodę ogarnia jesień i jesiennie robi się we mnie i wokół mnie. Liście moje żółknieją, a liście drzew zaczynają opadać. Wszakże pamiętasz, co ci pisałem o owym parobczaku, którego spotkałem tu zaraz po przybyciu. Spytałem o niego po powrocie do Wahlheimu i dowiedziałem się, że wygnano go ze służby i że nikt się o niego nie troszczy. Spotkałem go wczoraj w drodze do wsi sąsiedniej, zaczęliśmy, a on opowiedział mi swe dzieje. Wzruszyły mnie bardzo (...)

12 października

Osjan wyrugował z mego serca Homera. Jakiż niewysłowiony jest ten świat, w który wprowadza nas niezrównany poeta. Stąpamy przez wrzosowiska pośród szalejącej wichury, niosącej w kłębach mgieł duchy praojców poprzez zalane księżycowym światłem rozłogi. Od gór dolata poszum wartkiego potoku, a w rozgwarze tym słychać jęk duchów, ukrytych w grotach skalnych i skargi oszalałej z bólu dziewczyny, oplakującej tragiczną śmierć swego kochanka u grobu, zbudowanego z czterech porośłych mchem i trawą głazów. Idę śladem błędnego, starego barda, który szuka po szerokim stepie śladu stóp ojców swoich, a znajduje jeno grobowe kamienie.

3. „Dziady” cz. III Adama Mickiewicza – dramat romantyczny – motyw przyrody wymierzającej człowiekowi sprawiedliwość na podstawie sceny śmierci Doktora, Polaka, zdrajcy ojczyzny, karierowicza, bliskiego współpracownika Mikołaja Nowosilcowa, carskiego namiestnika w Królestwie Polskim.

KTOŚ NA ULICY

(śmiejąc się)

Cha — cha — cha — diabli wzięli.

(PELIKAN *wbiega zmieszany*)

SENATOR

Nasz Doktor?

PELIKAN

Zabity.

Od piorunu. Fenomen ten godzien rozbiorów:

Okolo domu stało dziesięć konduktorów,

A piorun go w ostatnim pokoju wytropił,

Nic nie zepsuł i tylko ruble srebrne stopił,

Srebro leżało w biurku, tuż u głów Doktora,

I zapewne służyło dziś za konduktora.

STAROSTA

Ruble rosyjskie, widzę, bardzo niebezpieczne.

4. „Droga do Rosji” – fragment *Ustępu* do III cz. „Dziadów” Adama Mickiewicza – motyw przyrody wrogiej człowiekowi, surowy, nieprzyjazny człowiekowi klimat, wszechogarniająca pustka potęgująca poczucie samotności zesłańca.

Po śniegu, coraz ku dzikszej krainie

Leci kibitka jako wiatr w pustynie (...)

Ziemia tak pusta, tak niezaludniona,

Jak gdyby wczoraj wieczorem stworzona (...)

Po polach białych, pustych wiatr szaleje (...)

5. „Pan Tadeusz” – epopeja Adama Mickiewicza – motyw sielskiej, obfitej i przyjaznej człowiekowi natury, Por. z „Pieśnią świętojańską o Sobótce” Jana Kochanowskiego

Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono.

Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną

Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,

Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;

Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,

Wyłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem;

Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,

Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,

A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą

Zieloną, na niej z rzadka ciche grusze siedzą.

6. Dramat romantyczny „Kordian” Juliusza Słowackiego – Kordian na górze Mont Blanc uświadamia sobie własną potęgę, odzyskuje wiarę w sens istnienia, postanawia zostać spiskowcem i walczyć za ojczyznę, przyroda ożywiająca umysł, będąca źródłem inspiracji

KORDIAN

Uczucia po światowych opadały drogach...

Gorzkie pocałowania kobiety — kupilem...

Wiara dziecinna padła na papieskich progach...

Nic — nic — nic — aż w powietrza błękicie

Skąpałem się... i ożyłem,

I czuję życie!

Duch rycerza powstał z lodów...

Winkelried dzidy wrogów zebrał i w pierś włożył,

Ludy! Winkelried ożył!

Polska Winkelriedem narodów!

Poświęci się, choć padnie jak dawniej! jak nieraz!

Nieście mię, chmury! nieście, wiatry! nieście, ptacy!

7. „Chłopi” T. I powieść modernistyczna W.S. Reymonta – natura jako potęga, życiodajna siła, której człowiek jest podporządkowany, silny związek bohaterów z ziemią – żywicielką, ale i kryterium wartościowania człowieka, człowiek jest częścią natury.

Ksiądz szedł coraz wolniej, czasem przystawał, aby odetchnąć, to znowu obejrzał się na swoje siwki, to przyglądał się chłopakom, obtlukującym kamieniami ogromną gruszę, aż hurmem przybiegli do niego i chowając ręce za siebie całowali w rękaw sutanny. Poglądził ich po głowach i rzekł upominająco: — Nie łamcie ino gałęzi, bo na bezrok gruszek mieć nie będziecie. — My nie rzucalim na gruszki, ino że tam jest gapie gniazdo — ozwał się śmielszy.

Cała wieś była zajęta wycinaniem i zwożeniem kapusty; pełno jej było po klepiskach, sieniach i izbach, a jak u niektórych i pod okapami siniąły kupy główek. Przed domami, wystawione na deszcz, mokły ogromne beczki. Spieszono się na gwałt, bo deszcz prawie nie ustawał, a drogi robiły się grząskie, nie do przebycia (...) — Spiesz się, Szymek, bo noc! — naganiała go [Jagna] znosząc co chwila kapustę na wóz. Jakoż i noc nadchodziła, mrok gęstniał i czerniał, a deszcz się wzmacniał, że tylko pluskało po rozmięklej ziemi i rowach, jakby kto ziarnem sypał. — Józia! skończycie to dzisiaj? — zawołała do Boryniańki, która z Hanką i Kubą wycinała w poddle. — Skończymy! Bo i czas do domu, taka plucha, że mnie już do koszuli przejęło. Jedziecie to już? — Juści. Noc zaruteńko i taka ćma, że się drogi nie rozezna. Jutro się zwiezie resztę. Sielną macie kapustę! — dodała pochyłając się ku nim i patrząc na majaczące w mgle kupy.

8. „Jądro ciemności” – powieść Josepha Conrada – motyw dzikiej, afrykańskiej przyrody, Europejczyk jest zdziwiony, niekiedy wręcz przerażony jej bujnością, wielkością. Wydaje mu się niczym nieograniczoną, wrogą człowiekowi siłą. Można się w niej zagubić, nie przynosi wytchnienia.

Podróż w górę rzeki [Kongo] była jak cofanie się do najwcześniejszych początków świata, kiedy roślinność panoszyła się na ziemi, a wielkie drzewa były królami. Pusta rzeka, wielka cisza, nieprzebyty las. Powietrze było ciepłe, gęste, ciężkie i leniwe (...) Na srebrzystych ławicach piasku hipopotamy i aligatory wygrzewały się w słońcu. Szeroko rozlane wody płynęły wśród tłumu zalesionych wysp; gubiłem się na rzece jak na pustyni, przez cały dzień natykałem się na mielizny, próbując znaleźć przesmyk, aż w końcu miałem wrażenie, że rzucono na mnie czar i odcięto na zawsze od wszystkiego, co kiedyś znałem (...) Ziemia wydawała się nieziemska (...)

Dzicz poklepała go [Kurtza] po głowie (...) i patrzcie! — zwiądl; zabrała go, kochała go, objęła go, wniknęła w jego żyły, strawiła jego ciało i przykuła jego duszę do swojej niepojętymi ceremoniami jakiejś diabelskiej inicjacji. Był jej zepsutym i rozpieszczonym faworytem.

Kurtz to po niemiecku „krótki” — prawda? (...) Wyglądał, jakby miał co najmniej siedem stóp wzrostu (...) on sam nie był o wiele cięższy niż dziecko.

CZY STAROŚĆ MOŻE BYĆ PIĘKNA?

Cudzoziemka M. Kuncewiczowej, niespełniona skrzypaczka Róża Żabczyńska

- Cudnie, cudnie ci w tym swetrze [czarnym] – powiedziała [Marta] – wyglądasz jak sen o zimie albo jak Petronela w swojej najlepszej formie – po jedzeniu, kiedy jest uduchowiona.

Petronela to była stara kotka angora.

Róża poczuła wtedy coś gorszego niż śmierć. Poczuła starość swoją, już dokonaną, już nieodwołalnie zapadłą i widoczną każdemu (...)

Kiedy dzieci podrosły, Róża nie tak już okrutnie prześladowała ludzi swoją urodą; zawsze jednak pilnie o nią dbała. (...) Jeżeli spostrzegła, że jakiś szczegół powierzchowności zestarzał się czy zeszpetniał – w pierwszej chwili przerażała się niemal do omdlenia. (...) Ale nie śmierci się bała - bała się metamorfozy (...) Zlekceważyła córkę. Kupiła czerwony żakiet i za jasne palto.

(...)

Położyła bransoletkę, obróciła się twarzą do lustra, córkę przyciągnęła do siebie.

- Patrz: widzisz te pomarszczone policzki, zmięte czoło, te plamy fioletowe i brunatne pod oczami? Czy widzisz tę maszkare sześcioletnią? Tę nieszczęsną karykaturę kobiety?

Marta zasłoniła się jak od ciosów.

- Nie, nie, nie mów tak! Nie widzę! Zawsze jesteś piękna.

Róża szarpnęła się gniewnie.

- Cicho! Nie kłam! Wcale kłamać nie trzeba. I ty widzisz, i ja widzę: róży już nie ma, jest uschnięty badyl.

Zbrodnia i kara F. Dostojewskiego, lichwiarka Alona Iwanowna

— Zacne babsko — mówi student — u niej zawsze można dostać pieniądze. Bogata jest jak Żyd, może od razu pięć tysięcy dać, ale nie pogardzi nawet rublowym zastawem. Wielu z nas do niej chodzi. Tylko że ścierwo z niej okropne... I dalej opowiadał o tym, jaka to jędza, jaka kapryśna, wystarczy o jeden dzień opóźnić termin wpłaty, żeby przepadł zastaw. Daje czwartą część wartości przedmiotu, a bierze pięć, a nawet do siedmiu procent miesięcznie itd. Student rozgałał się na dobre, opowiadał też, że starucha ma siostrę, Lizawietę, którą ta słaba, plugawitka osóbką co chwila bije i trzyma w całkowitej niewoli, jak małe dziecko, podczas gdy Lizawietka ma co najmniej osiem werszków wzrostu...

Lizawietka była młodszą, przyrodnią siostrą starej (z różnych matek) i miała już trzydzieści pięć lat. Pracowała na swoją siostrę po całych dniach i nocach, była w domu kucharką i praczką, poza tym szyła na obstalunek, najmowała się nawet do szorowania podłóg, i wszystko oddawała siostrze. Żadnego obstalunku, żadnej pracy nie ważyła się przyjąć bez zezwolenia starej. Stara ma już spisany testament, o czym nawet wie Lizawietka, która według testamentu — poza ruchomością, krzesłami i innymi drobiazgami — nie otrzymuje ani grosza; pieniądze przeznaczyła stara na pewien klasztor w n-skiej guberni, za pokój jej duszy.

(...)

— To takie moje dziwactwo. A wiesz, co ci powiem: to przeklęte stare pudło zamordowałbym i ograbił, i zapewniam cię, bez najmniejszego wyrzutu sumienia — dodał podniecony student. Oficer roześmiał się serdecznie, a Raskolnikow drgnął. Jakie to było dziwne. — Pozwól, że zadam ci jedno poważne pytanie — gorączkował się student. — Oczywiście, zażartowałem, ale zważ: z jednej strony — głupi, bezmyślny, nędzny, zły i chory babsztyl, nikomu na świecie niepotrzebny, raczej przeciwnie, bo przynosi wszystkim szkodę, kreatura, która sama nie wie, po co żyje, a jutro i tak wyzionie ducha.

Stara, jak zawsze, była z gołą głową. Jej jasne, przyprószone siwizną, rzadkie włosy były wysmarowane jakimś tłuszczem i z tyłu splecione w mysi ogonek podpięty odłamkiem rogowego grzebyka sterczącego we włosach.

a)

— A tak i stara poszła we świat — zaczęła Jagustynka.

— Kto? — spytała Anna podnosząc się.

— A stara Agata.

— Na żebrzy...

— Juści, że na żebrzy! Hale! nie na słodkości, ino na żebrzy. Obrobiła krewniaków, wysłużyła się im bez lato, to już ją puściły na wolny dech.

— Wróci na zwiesnę, to im naznosi w torebeczkach, a to i cukru, a to i harbaty, a to i grosza coś niecoś; zaraz ją będą miłowały, każą spać w łóżku, pod pierzyną, robić nie dadzą, coby se wypoczena... A wujna, a ciotka jej mówią, póki tego ostatniego szelągka od niej nie wyciągną... A jesienią to już la niej miejsca nie ma w sieni ani we chliwie. Ścierwy, psie krewniaki i zapowietrzone — wybuchała Jagustynka i taki gniew ją przejął, że stara jej twarz posiniała.

Jagna oprzytomniała i jęła oczami szukać, kto ją wołał i skąd, i wnet dojrzała Agatę siedzącą pod murem klasztoru na garści słomy, że to blokco w tym miejscu było po kostki.

Przystanęła, żeby jakiego grosza poszukać, a Agata uradowana z obaczenia swojaczki, nuż wypytywać się, co tam w Lipcach się dzieje...

— Wykopaliśta już?

— Do cna!

— Nie wiecie, co u Kłębów?

— Wygnali was w tyli świat, na żebrzy, a ciekawiście ich?

— Wygnali, nie wygnali, samam poszła, bo trza było... jakże, darmo to mi dadzą ten kąt abo jeść, kiej sie u nich nie przelewa... A ciekawam, boć krewniaki...

— A co z wami?

— A co, chodzę od kościoła do kościoła, od wsi do wsi, od jarmarku na jarmarek i tą modlitwą upraszam se u dobrych ludzi gdzie kąt, gdzie warzy łyżkę, gdzie grosik jaki! Dobrze są ludzie, ubogiemu nie dadzą umrzeć z głodu, nie... Nie wiecie, zdrowi tam wszyscy u Kłębów? — zapytała nieśmiało.

— Zdrowi, a wy nie chorujecie?

— I... gdzie zaś, w piersiach mę ciągiem poboliwa, a jak się naziębię, to i żywą krwią pluję... Niedługo mi już, niedługo... Choć ino do zwiesny dociągnąć, wrócić do wsi i tam se między swojemi zamrzeć — o to ino Jezusiczka proszę, o to jedynie... — rozłożyła ręce, okręcone różańcami, wzniesła zapłakaną twarz i jęła się modlić tak gorąco, aż lzy jej pociekły z zaczerwienionych oczów.

— Zmówcie pacierz za tatula — szepnęła Jagna wtykając jej pieniądz.

b)

— Dobrze stary robi, że się żeni, dobrze! [Jagustynka o Macieju Borynie] A to by mu dały taki wycug dzieci jak mnie! Całe dziesięć morgów pola jak złoto dałam, i co?... — splunęła ze złością. — Na wyrobki chodzę, na komornicę zesłam!... (...)

— Dobrze robicie, Macieju, dobrze. Jak mój pomeł, żebym była sobie poszukała chłopa, to nie komornicą bym dzisiaj była, nie... Głupia byłam, zawierzyłam dzieciom, na wycug poszłam, gront odpisałam, i co?...

— Ja ta nie odpiszę ni zagona! — rzekł twardo.

— Macie wy rozum, że tak mówicie, macie! Po sądach się włóczyłam, to ino te parę złotych, com miała — poszły, a sprawiedliwości nie kupiłam... i na starość na poniewierkę, na wyrobek! Żebyśta, ścierwy, pode płotem wyzdychały za moje ukrzywdzenie! Poszłam do nich w niedzielę, żeby chociaż popatrzeć na chałupę, na ten sad, com go ano sama szczepiła, to synowa wywarła na mnie pysk, że na prześpiegi przychodzę! Mój ty Jezu kochany! Ja na prześpiegi, na swój rodzony gront przychodzę! Myślałam, że trupem padnę, tak mnie żałość ścisnęła!

RÓŻNE WIZERUNKI MATEK

Jadwiga Barykowa z *Przedwiośnia* Stefana Żeromskiego, szlachcianka

Nieszczęsna matka traciła głowę, rozplywała się we łzach i gasła z niepokoju. Na widok tych łez gorzkich i nudzących go aż do śmierci Cezary poprawiał się na dzień, z trudem — na dwa. Na trzeci już znowu gdzieś coś płała. Wybijal szyby Tatarom, wdzierał się na płaskie dachy domów i, niewidzialny, strzelał z procy do domowników. Nocą, bez celu i sensu wałęsał się po nieskończonym bulwarze nowego miasta albo po prostu jak beznamiętny pies ganiał po zaułkach, po wąskich i stromych uliczkach starego, uwijał się w porcie, w brudach i czadach „czarnego miasta”. Nie mógł usiedzieć. Matka nie była w stanie utrzymać syna w domu, nakazać mu zmiany wyuzdanych obyczajów, dopilnować go i wysledzić miejsca jego kryjówek. Bez przerwy niemal czekała na jego powrót. Gdy chwycił czapkę i pędem wylatywał z domu, coś podsuwało się do jej gardzieli i zapierało oddech. Nie miała już siły prosić urwisa, żeby nie chodził. Z początku udawał posłuszeństwo: czał się, przymilał, wypraszał pozwolenie na bomblerkę. Później nabral zuchwałego rezonu. Z czasem stał się impertynencki, drwiący, uszczypliwy, kłótniwy i napastliwy. A wreszcie nic sobie z matki nie robił. Zaciśnęła zęby i milczała przeżywając nieskończone godziny trwogi o jedynaka.

To obce miasto stało się dla niej jeszcze bardziej obce, cudze, niepojęte, groźne, złowieszcze. Po wyjeździe męża wszystkiego się tutaj bała. Dopóki mąż był w domu, on był osobą — ona cichym i pokornym cieniem osoby. Teraz ów cień musiał stać się figurą czynną. Cień musiał nabrać woli, władzy, decyzji. Jakże ten mus był nieznośny, jak uciążliwy! Musiała wiedzieć o wszystkim, przewidywać, zapobiegać, rozkazywać. Gubiła się w płataninie swych obowiązków. Nie wiedziała, od czego zacząć, gdzie jest droga i jak nią iść. (...) Trwoga o syna, który się jak na złość zlisł, dobijała ją. Jedyną ulgę znajdowała w ciągu nocy, kiedy chłopak twardo spał. Słyszała wtedy jego oddech, wiedziała, że jest obok niej i że mu nic nie zagraża. Ale sama wtedy nie spała. Popadła w bezsenność. Wołała jednak bezsenność białej nocy niż trwogę białego dnia. Och, jakże dobrze jej było przyczać się na legowisku, zasunąć się w kąt i patrzeć na śliczną głowę chłopca, owianą gęstwiną falistej czupryny i — patrząc tak na niego — o nim marzyć!... Jakież śliczny, jakież ukochany ten łobuz, ten urwis, ten włóczyki i zawalidroga! Jednego dnia rozeszła się w mieście Baku lotem błyskawicy wieść: rewolucja (...) Pozamykano sklepy. Zabrakło żywności. Banki nie wydawały złożonych kapitałów i nie wypłacały procentów. Nikt nie dostawał pensji. Rugowano z mieszkań. Pewnej nocy, gdy twardo spał, zeszła do piwnicy ze ślepą latarką i wykopała znaczną część skarbu złożonego przez męża. Tę większą i cenniejszą część wyniosła za miasto i ukryła w murach starych zwalisk, w pewnej wnęce, którą najprzód z premedytacją zbadała.

Gdy jednak zjawił się na obiad zhasany i zgłodniały, żądał jedzenia i gniewał się, gdy było mało. A było coraz mniej i coraz jednostajniejsze: co dzień — ryby i kawior. Ani już śladu chleba, mięsa, jarzyn, owoców! Dowóz ustał i sklepy były na głucho zamknięte. Cezary nie pytał, skąd matka bierze pieniądze na ryby i kawior. Tęsknił za chlebem i owocami, ale pocieszał się pewnikiem, iż rewolucja przeżywa te braki chwilowo. Tymczasem ryby i kawior, powtarzające się trzy razy dziennie i bez odmiany, poczęły szkodzić na zdrowiu wszystkim.

Cóż dopiero mówić o matce Baryki! Nie jadła, chudła z dnia na dzień, a nie sypiała wcale. Gdy młody adept rewolucji cały teraz dzień spędzał poza domem na obserwowaniu zjawisk społecznego przewrotu — matka jego gromadziła zapasy. Wymykała się z miasta na daleką prowincję. Czyniła wyprawy w step urodzajny, biegnący ku wybrzeżom rzeki Kury, do zagród tatarskich i gruzińskich albo do folwarczków niemieckich. Zrazu jechała koleją, a później z jakiejś podrzędnej stacyjki puszczała się piechotą. Niosła ze sobą złote i srebrne przedmioty, złote imperiały i srebrne ruble, a w zamian za nie wypraszała jakieś parę garncy ziarna pszenicy, żyta, wreszcie jęczmienia, a nawet prosa. Kilkakrotnie udało jej się wydębic, po prostu wyżebrać, za olbrzymią cenę nieco mąki. Niosła ją z powrotem, upadając pod ciężarem, wiorstami do stacji kolejowej, a w samym pociągu przemyślała, krótko mówiąc, pod spódnicą. Chodziły bowiem wzdłuż wagonów patrole i konfiskowały tego rodzaju indywidualistyczną i burżuazyjną kontrabandę. Przytaszczywszy ziarno do miasta, Barykowa niosła je po nocy do Tatarów, z którymi miała zadawnione konszachty. Meła ziarno, znowu za bajeczną opłatą w złocie i srebrze. Po nocy również piekła chleby i podpłomyki, najczęściej niewyrośnięte placki z jęczmienia, ażeby jej jedynak mógł zakosztować świętego, mącznego chleba. Cezary mało co wiedział o tych matczynych wycieczkach. Nie informowała go przecie, skąd i jakim sposobem posiada cenne rzeczy na wymianę za zboże i mąkę. Wiedziała, że w świętej głupocie swojej wydałby w te pędy i tamten skarb z groty.

Dominikowa, czyli Marcjanna Paczesiowa – matka Jagny, Szymka i Jędrzicha z *Chłopów* Władysława Stanisława Reymonta, chłopka

Jagustynka, że to długo nie mogła bez gadania, to spojrzała na siejącego i rzekła:

— Te Paczesie to stare chłopy, że jaże im już klaki na łbach puszczejają...

— Ale kawalery zawdy — rzekła insza kobieta.

— A tyle dziewuch się starzeje albo i służby szukać idzie...

— Przeciech, a one mają cały półwłóczek i jeszcze łączkę za młynem.

— Juści, abo to im matka da się żenić... abo to im popuści...

— A kto by krowy doił, kto by opierał, kto by kole gospodarstwa abo i śwyni chodził...

— Obrządzają se matulę i Jagusię, bo jakże, Jagna kiej pani jaka, kiej i druga dziedziczka, ino się stroi... a myje, a w lusterku przegląda, a warkocze zaplata.

— A stara ino w kościele siaduje, a na książce się modli, a na odpusty chodzi!

— Prawda, ale czarownica to też jest; a Wawrzonowym krowom to chto mleko odebrał, co? A jak na Jadamowego chłopaka, co jej śliwki w sadku obrywał, jakieś złe słowo powiedziała, to mu się zaraz taki kołtun zbił i tak go pokręciło, Jezus!

— I ma tu błogosławieństwo Boże być nad narodem, kiej takie we wsi siedzą...

(...)

Powstali od kolacji. Jagna ze starą siadły do kądzieli przed kominem, a synowie jak zwykle zajęli się sprzątaniami, myciem naczyń i obrządkami. Tak już zawsze u Dominikowej było, że synów swoich dzierżyła żelazną ręką i rychtowała ich na dziewczki, żeby ino Jagusia rączków se nie pomazała. Jambroży zapalił fajkę, pykał w komin, to poprawiał głównie i dorzucał gałęzi i raz wraz spoglądał na kobiety, ważył cosik w głowie i układał.

— Były pono u was swaty?

— Abo to jedne.

— Nie dziwota, Jagna kiej malowana. Dobrodziej powiedział, że i w mieście nie spotkać piękniejszej. Jagna poczerwieniała z uciechy.

(...)

— Co jej tam po starym... ma jeszcze lata... poczeka se na młodego, jak się jej uda jaki.

— Takiego nie braknie, a bo to młodych brak? Jak świece chłopaki, papierosy palą, w karczmie tańczą, gorzałkę piją i ino patrzą za dzieuchami, która jakie morgi ma i trochę gotowego grosza, żeby balować było za co... Gospodarze juchy, do południa śpią, a po południu taczkami gnój wożą i motyczkami orzą pole...

— Na poniewierkę takiemu Jagny nie dam.

(...)

— Leż se, córko, leż!... Ostatni to raz u matki, ostatni! — myślała z czułością i z tym bolesnym żalem, co wciąż powracał. Nie chciało się jej wierzyć, że to naprawdę już dzisiaj, aż sobie przypominać musiała wszystko... Tak, sama chciała tego, a teraz, a teraz... jakby strach nią oświadczył i tak zatrząsł, aż skurczyła się z bólu i przysiadła na łóżku... Boryna dobry człowiek, uszanuje i krzywdy jej nie zrobi... a Jaguś poprowadzi go, gdzie ino zechce, bo stary świata Bożego poza nią nie widzi... Nie, nie o to się bojała, nie o to... pasierby!

Juści... po co było Antków wyganiać? Teraz dopiero będą zapiekać a pomsty szukać!... A nie wyganiać, to Antek byłby pod bokiem i obraza boska abo i co gorsze wyszłoby z tego!... Jezus mój!

A rady już nie ma... Zapowiedzi wyszły... wieprzek zabity, weselni sproszeni... tyła już zrobione... zapis w skrzynce... — Nie, nie! Co będzie, to będzie, a krzywdy nijakiej, póki żyje, zrobić jej nie dam!... — pomyślała stanowczo i poszła znowu do chłopaków krzycząc, czemu nie wstają.

Pulcheria Raskolnikow, matka Duni i Rodiona z powieści Fiodora Dostojewskiego *Zbrodnia i kara*, uboga wdowa

„Mój drogi Rodia - pisała matka - oto już przeszło dwa miesiące, jak nie gawędziłam z Tobą listownie co i mnie samą przyprawiało o cierpienie, tak że czasem myśli całą noc nie dawały mi oka zmrużyć. Ale Ty na pewno nie masz mi za złe tego mimowolnego milczenia. Wiesz, jak Cię kocham; ja i Dunia mamy tylko Ciebie; Tyś nasze wszystko, nasza jedyna nadzieja i otucha. Co się ze mną działo, gdyś mi napisał, że przed kilkoma miesiącami porzuciłeś uniwersytet nie mając z czego żyć, że się skończyły i korepetycje i inne źródła dochodu! Cóż mogłam zrobić dla Ciebie ze swoimi studwudziestoma rublami rocznej emerytury? Te piętnaście rubli, które Ci posłałam cztery miesiące temu, pożyczyłam, jak Ci wiadomo, na rachunek tejże emerytury, od tutejszego naszego kupca, Wasilia Wachruszyna. Dobry to człowiek, przyjaźnił się jeszcze z Twoim ojcem. Ale ponieważ upoważniłam go do podjęcia emerytury w moim imieniu, więc musiałam czekać, aż się dług wyrówna, a to stało się dopiero teraz, tak że przez cały ten czas nie mogłam Ci nic posłać. Lecz teraz, Bogu dzięki, zdaje się, będę mogła znów Ci przysłać, i w ogóle możemy się pochwalić, że się nam poszczęściło, o czym też śpieszę Ci donieść. Po pierwsze, czybyś się domyślił, drogi mój Rodia, że Twoja siostra już od sześciu tygodni mieszka tu ze mną i na przyszłość już się nie rozstaniemy (...)

To wszystko w znacznym stopniu przyczyniło się do tego nieoczekiwanego zdarzenia, które teraz, że tak powiem, zmienia cały nasz los. Dowiedz się, drogi mój Rodia, że o Dunię zaczął się starać kawaler i że już nawet są po słowie, o czym też śpieszę zakomunikować Ci co rychlej (...)

Piotr Pietrewicz udaje się do Petersburga. Ma tam duże interesy, chce otworzyć w Petersburgu publiczną poradnię adwokacką. Od dawna chodzi koło różnych pozwów i podań i właśnie ostatnio wygrał jeden znaczniejszy proces. Do Petersburga musi teraz koniecznie pojechać i dlatego, że ma w senacie jedną poważną sprawę. Tak więc, drogi mój Rodia, on i Tobie może być wielce pomocny w niejednym, a właściwie we wszystkim, i myśmy obie z Dunią umyśliły sobie, że już z dniem dzisiejszym mógłbyś rozpocząć na dobre swoją przyszłą karierę i uważać dalsze swoje losy za wyraźnie wytknięte. Och, gdyby to się ziściło! Byłoby to takie wspaniałe, że trzeba by to uznać za szczególniejszą nad nami opiekę Opatrzności. Dunia o niczym innym nie marzy. Wzięłyśmy na odwagę i już powiedziałyśmy Piotrowi Pietrewiczowi kilka słów w tej mierze. Odpowiedział oględnie, zaznaczając, że ponieważ, naturalnie, on sobie nie da rady bez sekretarza, więc, ma się rozumieć, lepiej jest płacić pensję nie obcemu, tylko krewniakowi, o ile ten okaże zdolności (Ty byś miał nie okazać zdolności!), lecz od razu zastrzegł się, że ma obawy, czy studia uniwersyteckie zostawią Ci dosyć czasu na pracę w jego biurze. Na tym się na razie skończyło, ale Dunia obecnie o niczym innym nie myśli. Teraz, od kilku dni, jest jak w gorączce i ułożyła sobie cały plan, że w przyszłości możesz zostać współpracownikiem, a nawet współnikiem Piotra Pietrewicza w jego sprawach sądowych, tym bardziej że jesteś na wydziale prawniczym. Ja zaś, Rodia, całkiem się z nią zgadzam i dzielam wszystkie jej plany i nadzieje, które wydają mi się zupełnie realne; bez względu więc na obecną, całkiem zrozumiałą powściągliwość Piotra Pietrowicza (gdyż on Ciebie jeszcze nie zna) Dunia jest przekonana, że dopnie wszystkiego przez swój dobry wpływ na przyszłego męża”.

JAKIE SKUTKI MOŻE PRZYNIESĆ ROZPAMIĘTYWANIE PRZESZŁOŚCI?

Gerwazy z Pana Tadeusza – epopei Adama Mickiewicza

Szlachcic to był, służący dawnych zamku panów, Pozostały ostatni z Horeszki dworzanów; Starzec wysoki, siwy, twarz miał czerstwą, zdrową, Zmarszczkami pooraną, posępną, surową. Dawniej pomiędzy szlachtą z wesołości słynął; Ale od bitwy, w której dziedzic zamku zginął, Gerwazy się odmienił i już od lat wielu Ani był na kiermaszu, ani na weselu; Odtąd jego dowcipnych żartów nie słyszano, I uśmiechu na jego twarzy nie widziano (...) Klucznikiem siebie tytułował, Iż ten urząd na zamku przed laty piastował (...) **Weszli w zamek...** (Gerwazy i Hrabia) Gerwazy w milczeniu, Tu wzrok na ścianie wstrzymał, ówdzie na sklepieniu, Przywołując pamiętkę tu smutną, tam miłą; Czasem, jakby chciał mówić: «Wszystko się skończyło», Kiwnął żałośnie głową; czasem machnął ręką: Widać, że mu wspomnienie samo było męką (...)

Nieboszczyk pan mój, Stolnik, pierwszy pan w powiecie, Bogacz i familiant, miał jedyne dziecię (...) Między szlachtą był jeden wielki paliwoda, Kłótnik, Jacek Soplica, zwany Wojewoda Przez żart; w istocie wiele znaczył w województwie, Bo rodzinę Sopliców miał jakby w dowództwie, I trzystu ich kreskami rządził wedle woli, Choć sam nic nie posiadał prócz kawałka roli, Szabli i wielkich wąsów od ucha do ucha. Owoż pan Stolnik nieraz wzywał tego zucha, I uguszczał w pałacu, zwłaszcza w czas sejmików, Popularny dla jego krewnych i stronników. Wąsał tak wzbił się w dumę łaskawym przyjęciem, Że mu się uroiło zostać pańskim zięciem. Do zamku nieproszony coraz częściej jeździł, W końcu u nas jak w swoim domu się zagnieździł. I już miał się oświadczać: lecz pomiarkowano, I czarną mu polewkę do stołu podano. Podobno Stolnikównie wpadł Soplica w oko, Ale przed rodzicami taiła głęboko. Było to za Kościuszki czasów; pan popierał Prawo trzeciego maja i już szlachtę zbierał, Aby konfederatom ciągnąć ku

pomocy, Gdy nagle Moskwa zamek opasała w nocy (...)

Wszystko szło pięknym ładem, choć w tak wielkiej trwodze... Pan Stolnik wesół wyszedł ze strzelbą na ganek (...)

Wtem strzelono spod bramy... Stolnik się zająknął, Zaczerwienił się, zbladnął, chciał mówić, krwią chrząknął:

Postrzegłem wtenczas kulę, wpadła w piersi same. Pan ślaniając się, palcem ukazał na bramę: Poznałem tego łotra Soplicę! poznałem! Tak zginął pan potężny, pobożny i prawy (...) nie miał po sobie Syna, który by zemstę poprzysiągł na grobie! Ale miał sługi wierne.

Ja w krew jego rany Obmoczyłem mój rapier Scyzorykiem zwany Przysiągłem wyszczerbić go na Sopliców karkach, Ścigałem ich na sejmach, zajazdach, jarmarkach. Dwóch zarąbałem w kłótni, dwóch na pojedynku; Jednego podpaliłem w drewnianym budynku, Jeden tylko został, Który dotąd ode mnie pamiętki nie dostał: Rodzoniutki braciszek owego wąsala! Żyje dotąd i z swoich bogactw się przechwala, Zamku Horeszków tyka swych kopców

krawędzią, Szanowany w powiecie, ma urząd, jest Sędzią! I pan mu zamek oddasz? Niecne jego nogi Mają krew pana mego zetrzeć z tej podłogi?

O nie! Póki Gerwazy ma choć za grosz duszy, I tyle sił, że jednym małym palcem ruszy Scyzoryk swój wiszący dotychczas na ścianie, Póty Soplica tego zamku nie dostanie!»

Po co proces, mopanku! sprawa jak dzień czysta: Zamek w ręku Horeszków był przez lat czterysta; Część gruntów oderwano w czasie Targowicy, I jak pan wie, oddano władaniu Soplicy. Nie tylko tę część, wszystko zabrać im należy, Za kosztą procesowe, za karę grabieży. Mówilem panu zawsze: procesów zaniechać; Mówilem panu zawsze: najechać, zajechać!

Tak było po dawnemu: kto raz grunt posiadzie, Ten dziedzic; wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie. Co się tycze dawniejszych z Soplicami sprzeczek:

Jest na to od procesu lepszy Scyzoryczek; A jeśli Maciej w pomoc da mi swą Rózczkę, To my we dwóch, Sopliców tych porzniemy na sieczkę».

Jadwiga Barykowa z

Przedwiośnia, powieści Stefana

Żeromskiego

Dniało nieraz, zanim znużona popadała w słaby półsen, w krótkie zapomnienie się, w półczuwanie. Budził ją każdy ruch chłopca, jego chrapanie albo mowa przez sen. W tych stanach półświadomości zawsze uciekała z tych miejsc obcych „do domu”, to znaczy do Siedlec. Słyszała w głębi swej głowy stuk kół pociągu i widziała niezmierzone obszary pól, lasów, pustek i pastwisk tej ziemi przeogromnej — Rosji — która była jej więzieniem. Skryte, radosne, iście złodziejskie marzenie podpowiadało jej perypetie czynu: zabrać Czarusia, zawiązać w węzeł trochę rzeczy i czmychnąć. Uciec z tego wygnania! Zwiąć! Wiedziała w każdym ocknieniu, że to jest niemożliwe, że tego być nie może, że Seweryn nigdy by na to nie przystał. Czyż nie miałby prawa powiedzieć, że uciekła dlatego, że w Siedlcach jest Szymon Gajowiec?

To imię i to nazwisko miało moc czarodziejską. Ono tu odsłaniało dawne,

wiosenne poranki i letnie dni, których już nie ma na ziemi. Miała znowu siedemnaście lat i tę radość w sercu, której już nie ma na ziemi. Wiedząc o tym doskonale, że to jest gruby i śmieszny nonsens, była znowu sobą, dawną, młodą dziewczyną. Kochała znowu Szymona Gajowca sekretnie, skrycie, na śmierć — jak wtedy. Była znowu na śmierć kochana przez tego wysmukłego, pięknego młodzieńca — jak wtedy. Przeżywała swój niemy romans. Czekła znowu na jego wyznanie — długo, tęsknie. Ale on nie powiedział jej nigdy ani słowa! Ani jednego westchnienia, ani jednego półsłóweczka! Tylko w tych ciemnych, głębokich oczach jego płonie miłość. Och, nie romans, nie miłostka, nie radosny flirt, lecz posępna miłość. Jakże mógł ośmielić się na wyznanie miłosne, jej, pannie z „domu” siedleckiego, on, biedny kancelista z „Pałaty”, a nadto pochodzący z chłopów podlaskich czy tam z jakiejś drobnej zagonowej szlachty. Toteż milczał, aż się domilczał! Przyjechał Seweryn i wydano ją bez gadania. **Wspominała znowu odjazd swój z mężem do Rosji.** Stoi

oto w oknie wagonu, uśmiechnięta, szczęśliwa, młoda mężatka. Mnóstwo

ludzi, wszyscy znajomi, całe miasto. Gwar, kwiaty, uściski, pozdrowienia, życzenia. A w głębi peronu, z dala, sam jeden, oparty o framugę okna — tamten. Jęk przerzynał duszę na nowo. Widziała jego oczy i uśmiech pełen śmiertelnej boleści.

Wspominała dnie dawne, uroczne chwile, kiedy przechadzali się nad wodą stawu w Sekule, nad wodą niezapomnianą, pokrytą wodnymi liliami. Pamiętała każde jego słowo owoczesne, cichą rozmowę o unii podlaskiej, o męczeństwie, katowaniach, przymusach. W duszy jego unia podlaska i cała owa kraina smutna a pełna tajemnicy miała jak gdyby kaplicę swoją. On to jeden wiedział o wszystkim, wszystko znał z aktów, z papierów urzędowych, z tajemnych raportów. On jeden stał nad drogami tego kraju jak samotny krzyż. Jej tylko jednej powierzał sekrety. I tak go oto zdradziła... Wspominała wycieczkę jedną do Drohiczyzna, drabiniastymi wozami, w licznym towarzystwie młodzieży. Jakże było wesoło, jaka wiosna była w duszach!

Po drodze zatrzymano się obok starej unickiej kapliczki, zabitej gwoździami i

skazanej na zagładę. Wspomniła sobie oczy Gajowca, oczy wzniesione na zesłowieczny w głębi obraz. O Boże, tego człowieka odrzuciła, podeptała, zabiła na duszy!... Wspominała po raz tysięczny ów list jego okrutny, gdy się rozeszła wieść, że wychodzi za Seweryna — list na sześciu stronicach, błagalny, żebrzący, zamazany strugami łez, obłąkany list Gajowca. Podarła go wówczas, lecz słowa tego pisma żyły w jej duszy. Czytała je w pamięci swej, jak wtedy na strychu, gdy targała włosy i omdlewała z rozpacz. Na wspomnienie imienia tego człowieka, któremu nigdy nie uściśnęła ręki, do którego nie wyrzekła jednego czulszego wyrazu, wiosna ojczysta pachniała w jej duszy. On to był jej nauczycielem, przewodnikiem, cichym mistrzem — ach, i wybranym ze wszystkich ludzi na ziemi! Wszystko przeszło, nastąpiło straszne oddalenie w czasie, w przestrzeni — narodził się Czarus — a przecie tamten człowiek nie umarł w duszy. Gdyby nawet nie było go już na ziemi, błogosławiła jego pamięć.

Wiktor Ruben z Panien z Wilka –
opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza.

Czuł dzień dzisiejszy i przyjemność mu sprawiała myśl, że jest jeszcze młody, tą młodością, która ma w sobie tyle równowagi, że jeszcze ma czas zacząć życie na nowo, że wszystko może się jeszcze odmienić i zmarnowana młodość powrócić wbrew piosnkom i przysłowiom w odmiennej, konkretniejszej postaci. Wszystkim tym myślom przyczyną była oczywiście Tunia; ta sama kobieta, co wtedy, w czasie jego młodości, mijała go w kształcie dziecinnym, nie zauważonym. Za mała była wówczas, aby jak Zosia obdarzyć go jakimkolwiek uczuciem, i już to samo, że była owym dzieckiem dawnym, że nie była splamiona żadnym wspomnieniem sprzed piętnastu lat, czyniło z niej istotę nową, godną uwagi i odmładzającą.

Wiktor poddał się bez żadnego zastanowienia przyjemności obcowania z przemłą, zdrową panną, która ani jednym słowem nie poruszyła jego melancholii, nie miała ona w sobie żadnej zdolności wspomnień ani żalów. Feli po prostu nie pamiętała, chociaż przypominała bardzo zmarłą siostrę. I jeżeli czasami przychodziło do Wiktora jakieś

echo dawnych czasów, których wówczas tak bardzo nie rozumiał, to w uśmiechu, rozśmianiu się, odwróceniu lub pochyleniu głowy Tuni, które miało w sobie tyle z rozmaitych trwał i poruszeń się Feli. Widząc dzisiaj w Tuni te wszystkie wyrazy i sposoby, które dawniej przed nim roztaczała Fela, począł rozumieć znaczenie rozmów, które miewał ze zmarłą, sens spacerów, które z nią odbywał. Czytał to wszystko jako palimpsest, jako wyznanie zza grobu, jako odnowienie tego, co stracił. Ale jeżeli zastanawiał się przez chwilę i, odwracając głowę od Tuni, aby przepchnąć czółno przez tatarak i trzcinę, spostrzegał, co mu z kokieterii, miłości może, ofiarowywała dawniej Fela, to spoglądając z powrotem na swoją towarzyszkę, widział znowu jej uśmiech, jej zęby, jej prześliczne oczy i smukły stan, smuklejszy od stanu Feli.

Dopiero późnym popołudniem zebrali się do domu i Wiktor mógł przez długie godziny błędzić między szuwarami i szukając niby to kaczek poić się młodym towarzystwem Tuni. A ona też była z tego zadowolona: Wiktor widocznie stanął przed nią nie obciążony żadnym wspomnieniem, dla niej jednej (nareszcie!) był nowym znajomym, niespodziewanie nowym, może pięknym i ona jedna

ze wszystkich osób, jakie tu spotkał, nie obciążała go żadnymi dostrzeżonymi zmianami. Poczuł się wolnym od wspomnień - i przez to powróciła mu młodość.

Tak mu się te postaci Tuni i Feli zwały, że nawet wieczorem tegoż dnia, gdy wyjeżdżał już z Wilka i Tunia stała na progu, odprowadzając swojego całodziennego towarzysza, wydało mu się nagle, że to Fela wyszła, żeby go pożegnać. I nie czuł w tym zjawisku strachu śmierci, tylko przeciwnie, radość życia. Na drugi dzień po polowaniu, z rana, już dosyć wcześnie, był w Wilku. Odszukał Tunię i poszli razem do sosnowego gaiku: tych kilku wysokich sosen, które stały za ogrodem na wzgórzu i które tak dobrze widać było z daleka. Siedli znowu na trawie i rozpoczęła się ta gra, która tak czarowała przez cały dzień wczorajszy Wiktora: w nocy mu się nawet śniła. Gra żartów i niedomówień, zmysłowej bliskości i niedostępności, zapachu ciała i lata, żdźbeł trawy, które lechtały dokuczliwie, lub mrówek, które spacerowały po rękach i nogach, wywołując dreszcz i otrząs. Była to jednocześnie gra starości i młodości, wspomnień i rzeczywistości, życia i śmierci, Tuni i Feli.

Tunia miała teraz lat dwadzieścia jeden czy dwadzieścia dwa; ale

wyglądała znacznie młodziej, gdy stawiała równo swoje długie nogi,

podobna do anioła z Giorgiona. Gdy siedziała obok Wiktora na trawie, tak bardzo przypominała trzepoczącego się ptaka. Nieuchronnie nastąpiło to, co nastąpić musiało; Wiktor chwycił dziewczynę za oba łokcie i przyciskając do trawnika pocałował mocno w usta. Tunia porwała się i krzyknęła. Potem zaczęła obrzucać Wiktora wyrazami niezadowolenia, w końcu jednak roześmiała się serdecznie i pozwoliła się pocałować po raz drugi, mocniej i dłużej. Pachniała żywicą. - Nie - powiedziała potem, podnosząc palec do góry. - Więcej ani trochę, nie ma mowy! - i śmiała się serdecznie.

Wiktora śmiech ten lekko dotknął: Tunia powinna była łaskawiej traktować ten pocałunek, powinien się być jej wydawać czymś o wiele poważniejszym. W śmiechu tym tkwiła jak gdyby kpina z niego i jego uczuć. Wrócił do dworu zawiedziony, a Tunia szła przy nim, ściszona nagle i poważna nad usposobienie.

CO SKŁANIA CZŁOWIEKA DO PRZEMIANY WEWNĘTRZNEJ?

PAN TADEUSZ (I poł. XIX w.) – Jacek Soplica

Między szlachtą był jeden wielki paliwoda, Kłótnik, Jacek Soplica, zwany Wojewoda

Przez żart; w istocie wiele znaczył w województwie, Bo rodzinę Sopliców miał jakby w dowództwie, I trzystu ich kreskami rządził wedle woli, Choć sam nic nie posiadał prócz kawałka roli, Szabli i wielkich wąsów od ucha do ucha. Owoż pan Stolnik nieraz wzywał tego zucha, I ugasał w pałacu, zwłaszcza w czas sejmików. Wąsał tak wzbił się w dumę łaskawym przyjęciem, Że mu się uroiło zostać pańskim zięciem. Do zamku nieproszony coraz częściej jeździł, W końcu u nas jak w swoim domu się zagnieździł. I już miał się oświadczać: lecz pomiarkowano, I czarną mu polewkę do stołu podano. Podobno Stolnikównie wpadł Soplica w oko, Ale przed rodzicami tała głęboko (...)

Bardziej niżli z miłości, może z głupiej pychy, Zabilem; więc pokora... wszedłem między mnichy. Ja, niegdyś dumny z rodu, ja, com był junakiem, Spuściłem

głowę, kwestarz, zwałem się Robakiem, Że jako robak w prochu (...) Udało mi się nieraz do kraju przedzierać, Rozkazy wodzów nosić, wiadomości zbierać, Układać zmowy — znają i Galicyjanie Ten kaptur mnisi — znają i Wielkopolanie! Pracowałem przy taczkach rok w pruskiej fortecy; Trzy razy Moskwa kijmi zraniła me plecy, Raz już wiedli na Sybir ... a Pan Bóg wybawił mnie cudem, I pozwolił umierać między swoim ludem Z sakramentami...

MAKBET (przełom XVI/XVII w.)

Lady Makbet

Jesteś już thanem Glamis i Cawdoru, I tym zostaniesz, co ci obiecane Tylko, że twojej lękam się natury, Zbyt jest tkliwości ludzkiej pełna mleka, Aby najkrótszą pogoniła drogą. Być wielkim chciałbyś, ambicję masz w sercu, Ale ci słabość stoi na przeszkodzie; Chcesz zająć wysoko, ale chcesz uczciwie, Nie chcesz szachrować...

Makbet

Naprzód, jak krewny jego i poddany

Dwa mam powody wzdygać się przed czynem; Potem, jak jego gospodarz, winienem Drzwi jego izby przed mordercą zamknąć, Nie

sam na głowę jego nóż podnosić. A potem, Duncan tak łagodnie władał, Na tronie swoim posadził cnót tyle, Że wszystkie, jakby chór świętych aniołów, Głosem od trąby grzmotu potężniejszym, Przeciw tej czarnej odezwą się zbrodni...

Być królem jest niczym, Jeśli nie mogę być królem bezpiecznie. Ten Banquo serce trwogą mi napelnia... One go ojcem królów powitały. Więc bezowocną na głowę koronę, Jałowe berło w ręce me złożyły, Które ma później obca dłoń mi wydrzeć, Kiedy następcą mym nie syn mój będzie...

Seyton

Królowa umarła.

Makbet

Później jej trochę należało umrzeć...

JĄDRO CIEMNOŚCI (przełom XIX/XX w.) - Kurtz

Dawny, realny Kurtz kształcił się częściowo w Anglii. Matka jego była na wpół Angielką, ojciec - na wpół Francuzem. Cała Europa złożyła się na Kurtza; i dowiedziałem się z czasem, że Międzynarodowe Towarzystwo Tępienia Dzikich Obyczajów

powierzyło mu opracowanie referatu jako wytycznej dla tegoż towarzystwa. A Kurtz ten referat napisał. Widziałem go. Czytałem. Był wymowny... «Wytepić te wszystkie bestie!» - Co ciekawe, Kurtz zapomniał widać zupełnie o swym cennym postscriptum...

- Mówiąc bez ogródek, łupił po prostu kraj - rzekłem. Tamten skinął głową. - Z pewnością nie sam jeden! - Mruknął coś w odpowiedzi o wsiach wokół tego jeziora. - Kurtz namówił tamte plemiona, aby szły za nim, prawda? - poddałem. Poruszył się niespokojnie. - Oni go ubóstwiali - rzekł.

On potrafi być bardzo straszny. Otóż... niech tam, powiem, żeby panu dać o nim wyobrażenie: raz i mnie chciał zastrzelić - ale ja go sądzić nie będę. - Zastrzelić pana! - wykrzyknąłem. - I za co? - Miałem tam trochę kości słoniowej, którą mi dał naczelnik tej wsi, koło mego domku. Widzi pan, strzelałem dla nich zwierzyń. No więc panu Kurtzowi zachciało się tej kości słoniowej i nie dał sobie przemówić do rozsądku. Oświadczył, że mnie zastrzeli, jeśli mu tych kłów nie dam i nie wyniosę się potem z kraju; że mnie zastrzeli, bo może to zrobić i ma na to ochotę, i nic go

na świecie nie powstrzyma od zabicia, kogo mu się żywnie podoba. To była prawda. Dałem mu tę kość słoniową.

- Skierowałem szkła ku domowi (Kurtza). Nie dostrzegłem żadnych oznak życia; zobaczyłem znowu walący się dach, długą ścianę z mułu wyglądającą nad trawy, z trzema małymi, kwadratowymi otworami okiennymi różnych rozmiarów. Pamiętacie, mówiłem wam, że uderzyły mnie już z daleka pewne próby ornamentacji, dość szczególne wobec ruiny tego miejsca. Teraz zobaczyłem je z bliska i pod pierwszym wrażeniem targnąłem głowę w tył jak przed ciosem. Potem przesuwalem szkła starannie od słupa do słupa i przekonałem się o swym błędzie. Owe okrągłe gałki to nie był ornament, lecz symbol: głowy na palach.

Wpływ tego człowieka jest nadzwyczajny. Obozowiska dzikich są rozłożone wokół, a wodzowie ich przychodzą dzień w dzień zobaczyć pana Kurtza. Czołgają się...

do dziś dnia nie umiem powiedzieć, jaki był zawód Kurtza, czy w ogóle miał jakikolwiek i który z jego talentów górował nad innymi. Wziąłem go z początku za

malarza, który pisywał do gazet, czy za dziennikarza umiającego malować - lecz nawet jego kuzyn (zażywający tabakę podczas rozmowy) nie umiał określić ściśle zawodu Kurtza. Był to uniwersalny geniusz...

CUDZOZIEMKA (XX w.) – Róża Żabczyńska

Zbysio, uwielbiający befsztyki, przysunął talerz: - Mamo, ja proszę z cebulą! Wtedy ojciec przeszył syna wzrokiem. -Czy ty jesteś pierwszy? A babcia? A gość?

Marta zatrzepotała bezradnie. Róża zaś wyciągnęła swoją dużą, ciemną dłoń i położyła ją na ramieniu zięcia. -Daj spokój Paweł. Toż to dziecko, on głodny. I jaki ja gość? (...)

Marcie wargi zadrżały. Róża, przez którą wylała tyle łez upokorzenia, krzywdy, nienawiści, pobudzała ją teraz do płaczu dobrocią. (...)

Adam, chciałam powiedzieć, że żalu do ciebie nie mam. Ani za tamte długie nasze czasy... Ani za dziś... Wszystko wybaczyłam. Ja często chcę czegoś, a potem dziw mnie bierze, jak mogłam chcieć takiej niemożliwości. Od roku mieszkasz u Kwiatkowskiej. Rozumiem... oboje z jednej gliny.

Cóż, ze mną ciężko było! Mnie nie obchodzili ludzie, jak dzika byłam, mnie obchodziła muzyka i mój ból, moja tęsknota i tajemnice. Ty, gdzie osiadłeś, zaraz miejsce zagrzałeś, mnie zawsze ciągnęło gdzie indziej. My z tobą nie para. Rozumiem i pretensji nie mam.

Ja dziś rano przychodziłam do Ciebie [córci Marty], żeby wszystko, co kiedykolwiek tobie mówiłam o życiu, odwołać. Prosić ciebie, żebyś – póki czas – odmieniła swoje życie... Paweł lubi muzykę, Adam nie lubił, i tak samo ty przy nim, jak ja przy Adamie udajesz tylko człowieka, pustkę zapchać usiłujesz. Nie zapchasz! Serca nie oszukasz!!! (...) idź, szczęścia twojego, póki czas, szukaj; inaczej w śmierci nie zaznasz spokoju, upiorem tu powrócisz, kobieto!!!

INNY ŚWIAT (XX w.) – „generalska doczka”

(...) w styczniu 1941 roku – przyszła etapem z więzienia młodziutka Polka, córka oficera z Mołodeczna. Była naprawdę śliczna: smukła i wiotka jak kłos chwiejący się na wietrze, o dziewczęco świeżej twarzyczce (...) Jury złożone z „urków” oceniło młodą klaczkę bardzo wysoko i nazywało ją odtąd (...) „generalską

doczką”. Dziewczyna trzymała się świetnie: wychodziła do pracy z podniesioną dumnie główką i błyskawicami gniewnych spojrzeń przeszywała każdego mężczyznę, który ośmielił się do niej zbliżyć. (...) przydzielona została do mieszanej kobieco-inwalidzkiej brygady 56., która na bazie żywnościowej przebierała jarzyny lub latała worki. (...) bez wahania przyjąłem zakład o pół pajki chleba z inżynierem Polenko, zawiadowcą składu jarzyn na bazie, że dziewczyna nie ulegnie. Polenko (...) pilnie doglądał, żeby nie kradła nadpsutych marchewek i solonych pomidorów z beczek. Mniej więcej, w miesiąc, po zakładzie przyszedł [Polenko do Grudzińskiego] wieczorem do naszego baraku i bez słowa rzucił na moją prycę podarte majtki kobiece. (...) Odtąd dziewczyna zmieniła się zupełnie. (...) Miał ją, kto chciał, pod pryczą, na pryczy, w separatkach techników, w składzie ubrań.

